



Girls  
to  
the  
front

CONFLICT

*GIRLS  
TO  
THE  
FRONT  
#10:  
CONFLICT*

# PRAMATKA TROJAŃSKIEGO STATKU

Eliza Rose

Tłumaczenie: Maria Markiewicz

Zgodnie z dyrektywą, kabina prysznicowa ustawiona jest na *wstrząs*. Codziennie, o 0600, alkaliczny obłok parzy moje ramiona, wydostając się przy tym z narożników kabiny, której ściany i podłoga drgają szybkim i przyjemnym rytmem. Wkładam palce w idealnie dopasowane do nich zagłębienia w poszukiwaniu kremu do skórek. Tak. Dobrze. Krem przynosi mi ulgę. Opieram policzki o płytki pokryte rosą – kwasem askorbinowym i witaminą C. Jestem czysta i oczyszczona. Teraz mogę rozpocząć swój dzień. Rozedrgana ściana podtrzymuje mój ciężar. Wydaję rozkaz. Ściana staje się przezroczysta a przede mną rozpościera się próżnia: paszcza kosmosu, horror jego apatii, ołowiane gwiazdy. Niczym dziury powstałe po przestrzeleniu wiadra. *Strzał w dziesiątkę*. Czy to źle, czuć pociąg do gwiazd, zastanawiam się tego ranka? Czy powinnam się tego wstydzić? Na tym ogromnym, zatłoczonym statku nie ma nikogo, kogo mogłabym o to zapytać.

To konkretne ustawienie prysznicza zostało zaprojektowane z myślą o obcych gatunkach, które zamieszkują planety o wysokiej aktywności sejsmicznej – planety, które nigdy nie stoją w miejscu. Planety, które, gdy po nich chodzisz, chodzą razem z tobą. Ale ja? Ja nie jestem z Ethlon, Tryk ani z Gangalese. Nie jestem z tych drżących, dygoczących planet, które są w ciągłym ruchu, i których humanoidalne potomstwo czasem zajmuje statki kosmiczne, takie jak mój. Jestem przedstawicielką ludzkiego gatunku. Jak mogłoby być inaczej? Jestem pramatką Trojańskiego Statku. Bez mojego nietkniętego człowieczego łona, ten statek byłby skazany na długi i samotny lot do Siódmej Bazy: jego pasażerowie zostaliby zgładzeni, hydroponiczne ogrody zgniłyby, androidy utraciłyby przydatność, a maszyny nie działałyby bez załogi, lecz tylko warkotały i sapały.

Opowiedzieć ci, jak znalazłam się w tym miejscu? Jak zaczęłam pożądać gwiazd?

Urodziłam się na statku i nie znam innego domu. Nazwano mnie Celine. Moja matka, Gina, nie żyje. Miała 46 lat, kiedy została zwerbowana do dożywotniej służby na Troi – statku zmierzającym do Fomalhaut, oznaczonego jako Alpha Piscis Austrinus. Lokalizacja: Baza Siódma. 25 lat świetlnych od Ziemi i od ziemskiej gwiazdy.

Fomalhaut jest jedną z gwiazd, które razem tworzą Kastralną Subgrupę. Te 16 gwiazd porusza się jak jedna: ławica ryb razem przemierzających przestrzeń. Misją statku Troja jest zbadanie egzoplanet krążących wokół Fomalhaut jako realnych siedlisk dla osadnictwa humanoidów, parahumanoidów, subhumanoidów i suprahumanoidów. Załoga statku to w większości ludzie, lecz jest tu też kilku przedstawicieli planet Ethlon i Vyvoxes, którzy poruszają się w przenośnych kapsułach wypełnionych bogatym w hel, suchym, zimnym powietrzem, mimo wszystko słabo naśladującym ich rodzimą atmosferę. Poruszają się w nich z konieczności, podobnie jak gwiazdy, do których przywiązany jest nasz statek.

Moja matka była człowiekiem. Tak jak już mówiłam, miała 46 lat, kiedy po raz pierwszy wsiadła na statek Troja, by udać się w podróż, która miała trwać 200 lat po jej śmierci. Wiedziała to od początku. W wieku 46 lat doznała pierwszych objawów menopauzy. Nie była badana pod kątem tych małych łobuzów rosnących w jej brzuchu. Czy była taka potrzeba? Jak jakiś łotr mógł zakorzenić się w tak wrogim środowisku, w tak suchym, biednym miejscu?

A jednak, mi się to udało. Zakotwiczyłam się w jej jałowym brzuchu, a Mama mnie donosiła. Urodzona w galaktycznym roku 383, jestem 34 lata młodsza od następnego pod względem wieku człowieka. Jako dziecko byłam jedynym starszakim w moim przedszkolu. Później, w edukacji, uczyłam się sama, kończąc samotnie edukację na holoseminarach.

Jako jedyne dziecko na statku byłam rozpieszczana. Tysiące miękkich dłoni targało moje włosy. Tysiące uszczypnięć w policzki, łapania za podbródek, protekcyjnych pocałunków w czoło. Jedyne dłonie, które kiedykolwiek czułam na moich nagich plecach, to dłonie mojej matki, które karmiły mnie i ubierały lata temu oraz zimne ręce androidów-medyków, którzy przejęli opiekę nade mną, gdy matka umarła. Jeśli znam jakiś dotyk, to tylko ten: lateksowe cyfry, które lekko pchają, tupią i szturchają, ale nigdy nie robią tego gwałtownie.

Niech cię to nie zwiedzie. Moje braki nie oznaczają, że nie rozumiem ludzkiej koncepcji „zadurzenia”. Znam ją aż za dobrze. Mam tylu chłopaków, że nie jestem w stanie ich zliczyć. Moje seks-zabawki to gwiazdy.

Co stało się potem? Co poszło nie tak do takiego stopnia, że to ja musiałam zostać Pramatką Trojańskiego Statku? Od galaktycznego roku 384, kiedy miałam dziewięć miesięcy, ani jedna dusza na naszym statku nie zdołała zająć w ciążę. Musieliśmy więc podnieść wskaźnik urodzeń i uzupełnić załogę statku do czasu, gdy dotrzemy do naszej docelowej gwiazdy i jej, mejmy nadzieję, przyjaznych planet. Zdeterminowane hetero-pary kopulowały. Czas mijał; ludzie men-

struowali; brzuchy pozostawały uparcie płaskie. Statek kosmiczny Troja miał poważny problem.

Dlatego właśnie androidzi-medycy grzebali w ustawieniach środowiskowych statku. Zeskanovali śluz szyjki macicy od wszystkich 900 członkiń załogi posiadających macicę. Szukali alternatywnych metod zajęcia w ciążę dla tych członków załogi, którzy jej nie posiadali. Przygotowali zastrzyki hormonu luteinizującego i zainstalowali zegary owulacyjne na każdym oddziale, a zegary te udekorowali poruszającym się, antropomorficznym spermatoocytom i pulchnymi, bladymi komórkami jajowymi, które wszyscy uznali za przesłodkie. O 1800, mapy sodowe w stołówce przygasaly, a nasze wieczorne posiłki kąpały się w różowym świetle. Miękką pornografia puszczana była na holoeckranach w turbowindach. Wszyscy samoistnie wprawialiśmy się w odpowiedni nastrój. Nikt nie panikował. Anomalie współczynnika urodzeń były normalne na statkach długodystansowych. Myśleliśmy, że sytuacja się ustabilizuje. Ale nadszedł rok 385 i dalej żadnych dobrych wiadomości. Kobiety będące w swoich ostatnich płodnych latach zaczęły zgłaszać pierwsze oznaki menopauzy. Młodsze – po prostu przestały menstruować. Wszyscy członkowie załogi zgłaszali najniższy poziom libido w historii statku.

Nadal nie wiemy, jaka ciemna siła sprowadziła na nas tę plagę. Nie wiemy, co jest nie tak z naszym statkiem, z powietrzem, z wodą, że spowodowało tę zarazę. Nie wiemy nawet, czy to wszystko nadeszło z zewnątrz, czy może jest to jakaś fatalna, wrodzona wada naszego statku. Teoria głosi, że cokolwiek by to nie było, musiało mieć miejsce w początkowej fazie podróży. A wiemy o tym, ponieważ ja sama wyszłam z tego nietknięta. Ochroniła mnie skóra, tkanki łączne i macica mojej matki. Niech spoczywa w pokoju pośród gwiazd.

Więc tak, przetrwanie statku zależy tylko i wyłącznie ode mnie, a w zasadzie od mojej macicy. Androidzi faszują mnie spermą od mężczyzn w wieku mojego ojca i starszych. Zmieniają kod genetyczny mojego potomstwa, jeszcze gdy noszę je w swoim łonie. Rysik laserowy, którego do tego używają, nawet nie łaskocze. Poród za porodem, na statku gromadzi się sztucznie zróżnicowana pula genów, która w całości przepływa między moimi nogami. Kiedy umrę, moje dzieci będą ze sobą współżyć, żeby statek Troja mógł podróżować dalej. Aby wspomóc nasze szanse na przetrwanie, rodzę w przyspieszonym tempie, wykonując tym samym pracę 900 kobiet. Androidzi mnie prowadzą. Są dla mnie tacy mili. Traktują mnie bardzo delikatnie. Codziennie dziękuję mi za moją służbę. Mówią, że moja rola jest kluczowa. Mówią, że jestem sercem tego statku. Doceniam to, ale jednak trochę obawiam się, że tak naprawdę jestem inną jego częścią...

0700: otwiera się stołówka. Jestem głodna za dwoje. Jem pięć posiłków dziennie, do tego przekąskę o północy. Dzisiaj usiadłam przy stole, przy którym siedziało stado Ethlonów, sączących ich lotny posiłek. Są zawsze tak uprzejmi, że nadszarpują uchylek swojej przenośnej atmosfery, tylko po to, by zrobić mi więcej miejsca. To proste jak zaciąganie zasłony. Kiwam im głową; ich skrzela błyszczą w odpowiedzi.

Śniadanie z gumowych, zszyntezowanych jajek z cytryną i witaminą B6 na moje wieczne mdłości. Jestem w szóstym tygodniu siódmej już przyspieszonej ciąży w tym roku – rok ga-

laktyczny 411, ziemski – 2440. Szósty tydzień i poranne mdłości wciąż się utrzymują, mimo że urodzę w ciągu dwóch tygodni. Czytam dzisiejsze memoranda: karma-notki od kobiecego syndykatu, dziękującego mi za moją służbę. Wyczuwam nutę biernej agresji w tych ich kursywach, podkreśleniach, wielkich literach. To wyrazy wdzięczności pisane stłumioną zazdrością. Coraz bardziej geriatryczny Komitet Kontroli Populacji wysyła mi plany na przyszłe genetyczne archetypy. Z hangaru żłobkowego przychodzi rzeczowy raport o stanie zdrowia moich czternaścioro dzieci. Mira ma zapalenie pęcherza – okrutny jest los dwulatka. Josiah ma zapalenie oskrzeli. Timor – wysypkę nieznanego pochodzenia.

Klikam na załączony obrazek – wysypka Timora jest drobna niczym koronka, nie jest wściekło-różowa, żółtaczkowo-żółta ani niepokojąco-liliowa. Jej wąskie, rozgałęziające się linie są w nudnawo-ołowianym kolorze gwiazd. Liczę te ospowe krosty. Nakreślam między nimi linie. Szukam konstelacji, które kiedyś tak kochałam. Przeciagam palcami po ekranie, aby przyrzeć się bliżej. Tłustość mojej skóry rozmazuje obraz: powiększam bardziej. Gubię się.

Nie boję się o mojego syna. Wiem, że wyzdrowieje. Pedi-medycy na Troi to dobrzy, zdolni androïdzi. Uleczą dolegliwości moich dzieci, zanim te nauczą się, co to ból. Nie martwię się, chociaż ich zachorowalność znacznie przekracza normę. Zostawiam to tweakerom genów. Nie mogę wziąć na siebie tego problemu. Nie mogę wziąć na siebie tego ani żadnych innych problemów. Już skrzypię pod ich ciężarem. W tej chwili ten ciężar to mała Fern; chromosomy płci XX, przewidywana data urodzenia: 12 tetramiesiąc, rok galaktyczny 411.

Ponownie powiększam zdjęcie wysypki Timora. Błąkam się między cynowymi punktami, między gwiazdami, za którymi odczuwam tęsknotę głęboko w mięśniach mojej miednicy, dokładnie tam, gdzie niczemu winna Fern naciska na jej dno. Właśnie tutaj odczuwam naraz ból i przyjemność, nie rozróżniam już nawet między jednym a drugim. Punkt po punkcie, wyprysk po wyprysku, gwiazda po gwieździe gubię się w tym, co widzę na ekranie. Gwiazdy rozrzucone wokół nas to moi małżonkowie. To oni są ojcami mojego potomstwa: Aldebaran, Procyon, Phecda i Antares. Cepheus, Cygnus, Rak 1, Rak 2 (Rak 1 świeci jaśniej niż Rak 2). Dziś najbardziej pożądam gwiazdy zwanej Fomalhaut, znanej również jako Fum al Hut – Rybie Usta. Według legendy ziemskiej, Fomalhaut jest najbardziej samotną gwiazdą na niebie. Dlaczego? Ponieważ jest to jedyna gwiazda widoczna gołym okiem z północnej półkuli Ziemi. Samotna, ale z czyjego punktu widzenia? Czy Fomalhaut nie jest jednym z wielu? Czy nie pływa w ławicy? Czy towarzyszące mu gwiazdy są mniej prawdziwe, ponieważ pokorne ziemskie sługi nie są w stanie ich zobaczyć? Kto nazywa moją gwiazdę samotną?

Ziemscy podglądacze, mrużący oczy przez wątle sondy i teleskopy, słuchajcie mnie uważnie: nie macie już prawa pisać historii mojej gwiazdy. Wy biedne, skarłowaciałe istoty, owinięte w koc ozonowy. Wasze wody ogrzane przez geotermalne ciepło, wasze łóżka przez ludzką obecność. Ale jesteście rozpieszczeni. Niczym ciepłolubne traszki, poddające się grawitacji. Żałośnie dwunożni. Może dla was Fomalhaut jest samotny. Ale dla niego samego?

# THE MIDDLE- -MOTHER OF STARSHIP TROY

Eliza Rose

Per my directive, the default setting on my unit shower is quake. Each new day, at 0600 hours, alkaline mist scalds my shoulders, fanning from the corners of the stall whose walls and floor vibrate at a fast and pleasing clip. I jam my fingers into the form-fitted divots for cuticle cream. Yes. Good. The cool cream soothes. I lean my cheeks against tiles dewed with ascorbic acid and vitamin C. I am clean and I am cleansed. My day (ever sunless) can begin. The vibrating wall braces my weight. At my voice command, the wall turns transparent and before me gapes the vacuum: the maw of space, the horror of its apathy, and finally, the pewter stars. Holes shot through the bottom of a bucket. Bull's eye. Is it wrong to feel attracted to the stars, I wonder this morning, as I wondered the morning before? Is it shameful? There is no one on this vast and crowded ship I feel I can ask.

The shower's quake setting was designed for alien species native to planets of high seismic activity – planets that never stand still. Planets where you walk and the ground walks with you. But me? I am not Ethlon, nor am I Tryk or Gangalese. I am not from those shaking, sliding, shivering planets whose nearly humanoid offspring do, occasionally, take posts on starships like my own. I am human. How could I be otherwise? I'm the Middle-Mother of Starship Troy. Without my human womb intact, this vessel would be doomed to a long and lonely flight to System Seven: its passengers dead, its hydroponic gardens gone to rot, its androids obsolesced, its machines malfunctioning but whirring and wheezing on, unmanned.

Shall I tell you how I came to lust over the stars?

I'm the Middle-Mother of Starship Troy. My given name's Celine. I was born on-ship and know no other home. My mother, Gina, dead now, was 46 when recruited for a lifelong assignment on Starship Troy – a vessel bound for Fomalhaut, designation Alpha Piscis Austrinus. Location: System Seven. 25 lightyears from Earth and from Earth's star.

Fomalhaut is one of several stars that together form the Castor Moving Group. These 16 stars move as one: a shoal of fish traversing space. The mission of Starship Troy is to investigate the exoplanets orbiting Fomalhaut as viable habitats for humanoid, parahumanoid, subhumanoid and suprahumanoid settlement. Troy's crew is mostly human with a smattering of Ethlon and Vyvoxes, who move together around the ship in portable bubbles of helium-rich and dry, cold air that feebly mimics their native atmospheres. They move, by necessity, in pods, not unlike the traveling stars to which our ship is bound.

My mother was human. 46, as I've told you, when she boarded starship Troy for a trip she always knew would last 200 years after her death. At 46, she had felt the first symptoms of menopause. She was not screened for little rascals growing in her abdomen. What need was there? How could any rascal take root in such a hostile habitat, in such a dry, poor place?

And yet, this is what I did. I moored myself inside this so-called barren belly, and Mom brought me to term. Born in galactic annum 383, I am 34 years younger than my closest peer. As a child, I was the only student in my kindercare. Later, in the edu-bay, I learned alone, finally ending my solitary studies at the holoseminars called 'college.'

As the only child of starship Troy, I was doted on. Thousands of soft hands tousled my hair. Thousands of cheek pinches, chin nudges, patronizing kisses on the forehead. The only hands I have felt on my bare back were the hands of my mother when she fed and dressed me, years ago, and the cold hands of the android medics who took over my care when she died. If I know touch, it is only this touch: latex digits that push, patter, and prod but never stroke.

Do not assume my deprivation means I do not understand the human concept of a 'crush.' I know all too well. My mates are too numerous to count. My sex toys are the stars.

What happened next? What went so terribly wrong to make me Middle-Mother of Starship Troy? As of galactic annum 384, when I was nine months old, not one soul on Troy's complement had managed to conceive. A replacement birthrate was necessary to replenish the ship's crew until we reached our target star and its hopefully hospitable planets. Hetero-pairs willed themselves to copulate. Time passed; people menstruated; bellies stayed stubbornly flat. Starship Troy had a problem.

So the android medics tinkered with the ship's environmental settings. They scanned the cervical mucus of all 900 crewmembers possessing a uterus. They explored alternative gestation methods for those who did not. They prepared luteinizing hormone shots and installed ovulation clocks in every unit with animated, anthropomorphic spermatozoa and plump, pale eggs that everyone agreed were just – so – cute. At 1800 hours, the canteen's sodium lamps dimmed to bathe our evening meals in pinkish light. Softcore pornography played on holo-screens in the turbolifts. All resolved to get in the mood, and nobody panicked. Birthrate anomalies were normal on long-haul starships. The situation would stabilize. But galactic annum 385 came and went with no good news. Women at the end of their fertility windows reported signs of early menopause. Younger women simply ceased to menstruate. All crew members reported libidos at an all-time low.

We still don't know what dark force brought this scourge upon us. We don't know what it is about our ship, our air, our water that caused this blight. We don't know if it came from outside or was some fatal flaw internal to our vessel. The theory goes: whatever hex struck starship Troy did so in the early hours of voyage. We know this because I alone was unaffected. My protection was the skin, fascia, and uterus of my mother, may she rest in peace among the stars.

So the ship's survival depends wholesale on me, or rather, on my uterus. Androids plug me up with sperm from men my father's age and older. They edit the genetic codes of my offspring while I gestate. The laser stylus used for the editing procedure doesn't even tickle. Birth by birth, an artificially diversified gene pool accumulates on the ship, the whole of it funneling through my legs. When I die, my children will mate among themselves so that Starship Troy can journey onward. To help our odds, I birth on an accelerated cycle, doing the work of 900 women



on my own. The androids shepherd me through. The androids are so kind to me. They handle me so gently. They thank me for my service every day. My role, they say, is instrumental. I am the ship's heart, they say. I appreciate the sentiment, but I fear I am another part.

0700 hours: the canteen opens. My hunger is sized for two. I eat five meals a day, with a midnight snack to boot. Today I choose a canteen table where a pod of Ethlons sits and sips their gaseous meal. Ever so politely, they tug in a corner of their portable atmosphere to give me room. Easy as drawing a curtain. I nod to them; their gills flair in response.

Breakfast of rubbery synthesized eggs with a tonic shot of lemon and vitamin B6 for my eternal nausea. I am in Week 6 of my 7th accelerated birth cycle this year – galactic annum 411 / on Earth, 2440. Week 6 and the morning sickness lingers, even though I'll birth within the fortnight. I read the morning's memoranda: a karma-memo from the women's syndicate thanking me for my service. I sense passive aggression born of repressed envy in their italicized, underlined, capitalized words of gratitude. The increasingly geriatric Committee on Population Control sends schemas for next year's genetic archetypes. From nursery bay – a sober report on my 14 offspring's health. Mira has a UTI – a cruel plight for a two-year old. Josiah has bronchitis. Timor – a rash of unknown origin.

I click the attached image: Timor's rash is a fine lace, not rose-pink, nor jaundice-yellow, nor an anxious lilac. Its narrow branching lines are the same dull pewter of the stars. I count the pocks. I draw lines between them. I look for constellations I have come to love. I drag my fingers on the screen to take a closer look. The oil from my skin smears the picture: I zoom in more. I get lost.

I feel no fear for my son. I know he will get well. The pedi-medic of starship Troy is a good, capable android. It will fix the ailments of my children, and it will do so before they learn of pain in any lasting way. I do not worry, even though their sickness rate far exceeds the norm. I leave this to the gene tweekers. I cannot take this problem on myself. I can't take this or any other problems on myself. Already, I creak beneath my burden. Right now, this burden has a name: little Fern, sex chromosomes XX, projected birthdate: Tetramonth 12, G.A. 411.

I zoom back into Timor's rash. I stray between the pewter points, the stars for which I feel a longing deep inside my pelvic muscles, right where blameless Fern presses on my pelvic floor, right here, where I feel pain and pleasure, which are, for me, the same. Point to point, pock to pock, star to star, I get lost in the image of the rash. The stars flung all around us are my spouses. It is they who father my brood: Aldebaran, Procyon, Phecda and Antares. Cepheus, Cygnus, Cancer 1, Cancer 2 (Cancer 1 burns brighter than Cancer 2). Today the mate I desire most is the star called Fomalhaut, also known as Fum al Hut – the Fish's Mouth. By earthmen legend Fomalhaut is the loneliest star in the sky. Why? Because it's the only star visible to the naked eye from Earth's northern hemisphere. Lonely, then, from whose point of view? Is Fomalhaut not one of many? Does it not swim in a shoal? Are its companion stars less real because lowly earthmen lack the power to see them? Who calls my star lonely?

Earth-lurkers squinting through your feeble probes and telescopes, listen close: you no longer get to tell the story of my star. You poor stunted sapiens, swaddled in your ozone blanket, your water warmed by geothermal heat, your beds by human company. Coddled humans, warm and newtlike, servants to gravity, pathetically bipedal. For you, Fomalhaut is lonely. But for the star itself?